

Miłość między polskim chłopakiem i żołnierzem Wehrmachtu od początku wydaje się skazana na tragiczny finał

Na początku Bóg stworzył Joannę Ostrowską – tak winna zaczynać się owa opowieść, bo bez tej wybitnej badaczki zapomnianych ofiar nazizmu trudno sobie dzisiaj wyobrazić jakąkolwiek książkę w języku polskim, która poświęcona byłaby homoseksualnym ofiarom nazizmu. To nieprawdopodobna wręcz determinacja dr Joanny Ostrowskiej zaowocowała ukazaniem się w Polsce najpierw „Mężczyzn z różowym trójkątem” Heinza Hegera (2016), a potem „Cholernie mocnej miłości” Lutza Van Dijka (2017) – pierwszych i jedynych wydanych w naszym języku świadectw homoseksualnych mężczyzn skazanych przez hitlerowców na obozy koncentracyjne na podstawie słynnego paragrafu 175 penalizującego homoseksualizm. Obecnie historyczka pracuje nad trzecią książką, która zbierze wszystkie odnalezione przez nią historie polskich „różowych trójkątów”. Jej wydanie zaplanowane jest na przyszły rok.

Opowiadanie historii społeczności LGBT nigdy nie było, wbrew pozorom, szczególnie popularne we współczesnym polskim teatrze, choć ogłaszano przecież, że rządzi nim homolobby (bardzo bym chciał). Naturalnie, tak zwane wątki LGBT pojawiały się tu i tam, ale żeby cały spektakl poświęcić tej tematyce, to już nie bardzo. Przekonałem się o tym osobiście, gdy kilka lat temu proponowałem trzem postępowym teatrom wystawienie przełożonej przeze mnie na nowo na polski świetnej sztuki zmarłego niedawno Larry’ego Kramera „Normalne serce”.

Zapaliłem do tej idei bardzo zdolnego młodego reżysera, ale odbijaliśmy się od kolejnych drzwi, słysząc: „nikt nie przyjdzie na spektakl o gejach”, „ale po co mam to robić”, „to jest takie środowiskowe” oraz „przecież Warlikowski zrobił już „Anioły w Ameryce””.

Udało mi się, na szczęście, dzięki wsparciu poznańskiej Grupy Stonewall zorganizować performatywne czytanie tego dramatu na deskach Teatru Polskiego w Poznaniu, gdzie równo 30 lat wcześniej (w roku 1987) wyreżyserował go Grzegorz Mrówczyński. Wypełniona po brzegi widownia nagrodziła to przedsięwzięcie owacją na stojąco.

Co ciekawe, spektakle, w których głównym tematem jest taka czy inna tęcza historia, wystawiają w Polsce teatry, których nie umieszcza się zwykle na liście tych najbardziej awangardowych: „Bent” Martina Schermana w reżyserii Natalie Ringler (tragiczna opowieść miłosna między dwoma więźniami obozu koncentracyjnego w Dachau) powstał na deskach stołecznego Teatru Dramatycznego, a „Matki i synowie” Terrence’a McNally’ego (opowieść o matce, która nie może się pogodzić z odejściem zmarłego na AIDS homoseksualnego syna) wystawiła w Teatrze Polonia Krystyna Janda, która zresztą jak żadna inna dyrektorka teatru dba o obecność tematyki LGBT na scenie. „Historię przemocy” Édouarda Louisa przeniósł na teatralne deski Ewelina Marciniak i zrobiła to w Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie, a „Anioły w Ameryce”, dekadę po Krzysztofie Warlikowskim, odważyła się wyreżyserować dopiero Małgorzata Bogajewska i zrobiła to w kierowanym przez siebie Teatrze Ludowym w Krakowie.

Mieniący się najbardziej lewicowym teatrem w Polsce – tym, „który się wtrąca” – Teatr Powszechny w Warszawie nigdy za dyrekcji Pawła Łysaka nie wystawił żadnego dramatu, żadnego spektaklu, którego fundamentem byłaby tematyka LGBT.

Trochę lepiej sprawy się mają u jego konkurenta – w Teatrze Studio, gdzie na afiszu są „Żaby” w reżyserii Michała Borczucha i niebawem trafi na niego „Koniec z Eddym” wspomnianego Louisa w reżyserii Anny Smolar (nawiasem mówiąc, ta jego powieść jest znacznie lepsza od „Historii przemocy”).

Kiedy piszę o niewystarczającej reprezentacji queerowej narracji w naszym teatrze – a wcale nie robię tego zbyt często, bo już mnie to, szczerze powiedziawszy, zmęczyło – oprócz reakcji pozytywnych, potwierdzających moją diagnozę, spotykam się także z reakcjami zdziwienia i dezaprobaty. Zdziwienie bierze się stąd, że część ludności (ta wierząca w istnienie homolobby) jest przekonana, że w polskim teatrze nie ma nic innego poza różową dramaturgią. Inna część, w tym dyrektorzy wielu teatrów, uważa, że „gejowski spektakl” (to ich słowa) jest przedsięwzięciem niszowym, bo przyjdą na niego tylko osoby LGBT z obocznościami, a poza tym, „co może obchodzić heteryka historia o jakichś gejach, lesbijkach czy transach”? Oba założenie są fałszywe. Po pierwsze, osoby LGBT+, ich rodziny i znajomi stanowią po prostu sporą część widowni teatralnej, szczególnie w dużych miastach. Wyraził to najlepiej niemal dekadę temu Neil Patrick Harris, kiedy otwierając galę nagród Tony, wykonał genialny i niezwykle dowcipny utwór o tym, że Broadway „is not just for gays anymore!”. Po drugie, skoro ja, będąc gejem, mogę przeżywać dziejące się na scenie heterohistorie, rozumiem, że wrażliwa i rozumna istota hetero może przeżywać emocje, oglądając na przykład „Tęczową trybunę” Pawła Demirskiego i Moniki Strzępki (Boże, cóż to był za wspaniały spektakl w świętej pamięci Teatrze Polskim we Wrocławiu!). Chyba – że odwołam się także do kina – „Filadelfię”, „Tajemnicę Brokeback Mountain” czy „Pose” oglądali ludzie bez względu na ich tożsamość psychoseksualną i płciową.

O uniwersalności miłości, w tym przypadku między dwoma mężczyznami, można się teraz przekonać w Teatrze im. Wilama Horzycy, gdzie Aleksandra Jakubczak (reżyseria) i Krzysztof Szekalski (dramaturgia) zaadaptowali na teatralne dechy „Cholernie mocą miłość” Van Dijka, tę samą, co to ją nad Wisłę sprowadziła Joanna Ostrowska, od której swe gejowskie peregrynacje po polskim teatrze w tym tekście rozpocząłem. Przyznaję, jechałem do Torunia z duszą na ramieniu, obawiawszy się zakalca, a wypieczono tam całkiem niezłe ciasto. Może nie tak wybitne, jak by się chciało, ale jednak całkiem smaczne. Jest to w dużej mierze zasługa gościnniej roli Błażeja Stencela, ale o tym za chwilę. Najpierw słów kilka o samej książce, którą jest kanwą rzeczzonego spektaklu.

„Cholernie mocna miłość” to historia toruńskiego chłopka, Stefana. To nie jest jego prawdziwe imię, prawdziwego długo nie ujawniał. Ze strachu. Strachu, który go paraliżował, wpędzał w stany lękowe i nieopisaną panikę. Strach przed opowiedzeniem własnego losu, strach przed jego odkryciem doprowadził nawet do tego, że w 2000 roku, trzy lata przed śmiercią, Stefan spalił wszystko, co mogło mu zaszkodzić – listy, dokumenty, zagraniczne teksty o sobie. Poza Polską bowiem Teofil Kosiński (to jest prawdziwe imię i nazwisko) był, poza Polską opowiadał o swoich wojennych doświadczeniach, poza Polską były media i instytucje tą historią zainteresowane. W Polsce nie. W Polsce milczał. I Polska też go przemilczała. Claudia Schoppmann, niemiecka badaczka dziejów prześladowanych przez nazistów gejów i lesbijek, nazwała to „czasem maskowania”. Dla Kosińskiego było nim całe jego życie.

„Boję się aktów agresji, których mógłbym doświadczyć w Polsce” – pisał Stefan/Teofil pod

koniec lat dziewięćdziesiątych do amerykańskich filmowców, którzy przygotowywali dokument o ofiarach paragrafu 175.

Pół wieku po zakończeniu wojny nadal bał się panicznie. Zaufał właściwie tylko Lutzowi Van Dijkowi, niemieckiemu badaczowi, któremu w 1990 roku opowiedział swoją historię. Historia Polaka ukazała się więc w formie książki po niemiecku, potem po angielsku, potem w innych językach. Na polski przekład Agaty Chmieleckiej i Filipa Fierka czekała ćwierć wieku, co naprawdę dużo mówi o naszym kraju.

Stefan/Teofil jest podczas wojny nastolatkiem i znajduje zatrudnienie w chórze Stadttheater Thorn (to okupacyjna nazwa dzisiejszego Teatru im. Horzycy), bo kochał występować na scenie. Bardzo kochał. Wracając wieczorem po jednym ze spektakli, poznał na ulicy Williego, dwudziestoparoletniego Austriaka. Tak zaczyna się wielka miłość między polskim chłopakiem i żołnierzem Wehrmachtu. Miłość, wydaje się, skazana na tragiczny finał od samego początku. Ale nic więcej o niej nie napiszę, by nie odbierać widzom przyjemności oglądania lub/i czytania. Skrobnąć pragnę za to słów kilka o samym spektaklu, bo warto go obejrzeć nie tylko z powodu całkiem udanej formy, ale też czasów, w których przyszło nam żyć.

Nie da się bowiem oglądać „Cholernie mocnej miłości” bez skojarzeń z dzisiejszą Polską. Krajem, którego naczelne władze współ w Kościele katolickim coraz bardziej rozkręcają kampanię nienawiści do osób LGBT+.

Na razie jesteśmy świadkami przemocy werbalnej i coraz częściej fizycznej, ale już trwają przymiarki do stworzenia przeciw osobom LGBT+ odpowiedniego prawa. Teatralni twórcy „Cholernie mocnej miłości” lepiej się ze swoim spektaklem wstrzelić nie mogli.

Jego najjaśniejszym punktem jest, co już zdążyłem nadmienić, grający Stefana Błażej Stencel, tegoroczny i bardzo utalentowany absolwent Akademii Teatralnej w Warszawie. Jego młodzieńczość, naiwność, niezrozumienie brutalnego świata, kochający sztukę i zakochany po uszy w Willim Stefan jest sprawnie zagrany i bardzo przekonujący, a byłby jeszcze bardziej, gdyby równie przekonujący okazał się Willi (Wojciech Jaworski), no, ale podobno nie można mieć wszystkiego. Role drugoplanowe pominię (szczególnie wyjętą żywcem z commedii dell'arte Matkę), gdyż w czasach pandemii postanowiłem zostać sympatyczną osobą. Zachwalę za to scenografię i kostiumy Jany Łączyńskiej i wideo Wojciecha Sobolewskiego (poza ostatnim, z alternatywnym żywotem Stefana), bo im się pochwała zwyczajnie należy. Generalnie trzeba powiedzieć, że mimo różnych nadmienionych tu nieśmiało mankamentów „Cholernie mocną miłość” ogląda się naprawdę dobrze – to jest bez dwóch zdań najlepszy spektakl Aleksandry Jakubczak. Podobnie zdają się widzieć sprawy toruńscy widzowie, którzy nagrodzili spektakl długą owacją na stojąco i natychmiast wykupili wszystkie bilety.

Mike Urbaniak

Wysokie Obcasy

20.10.2020